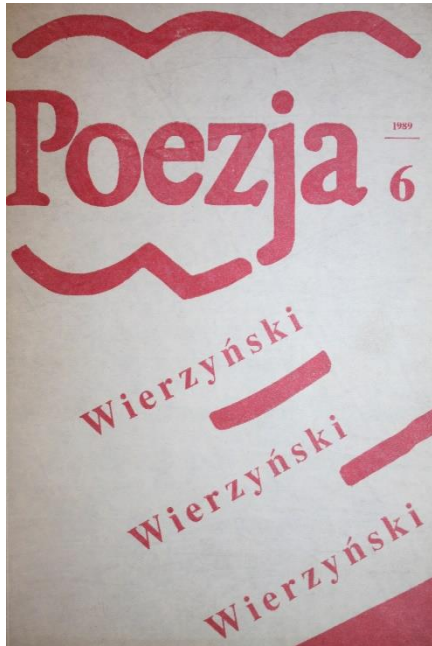


# Niepowtarzalna „Poezja”

(Dokończenie ze strony 9)

Obecnie są wprawdzie (czego wtedy brakowało) liczne ambitne czasopisma, nawet kilka w jednym dużym mieście, ale ich autorzy stają się od chwili druku autorami prowincjonalnymi i często poza ten obieg nie wychodzą, gdyż periodyki te raczej nie opuszczają granic metropolii, regionu.



Argumentem za tym, że warto wrócić, a właściwie: wracać regularnie do starej dobrej „Poezji” jest jej niepowtarzalna zawartość. Wolor niepowtarzalności bierze się z dość prostej (i nieodwracalnej) przyczyny: upływu czasu. Pierwszy numer pisma ukazał się w grudniu 1965 roku. Ponad 70 lat temu. W tym czasie żyło jeszcze wielu wybitnych polskich poetów starszego pokolenia. W kraju egzystowali dwaj „skamandryci” – Iwaskiewicz i Słonimski, wszyscy czołowi reprezentanci Awangardy Krakowskiej: Peiper, Przyboś, Kurek, a w Paryżu Brzękowski. Tworzył Jastrun, klasycyznął powoli Różewicz. Wciąż obiecujący był Grochowiak, zauważani zaś Białoszewski, Herbert i Szyborska, a ich twórczość jako żywa bywała komentowana na łamach czasopisma. Toczyły się spory i polemiki. Przyboś w „Zapiskach polemicznych” wyrzeka się Różewicza jako ucznia (1967/6, s. 18), „zropaczeńca dla kokieterii”, jak określa. Ale wiersze obu nierzadko otwierają numer pisma, stanowią poniekąd komentarz do rzeczywistości. Dziś nie ma już żadnego z wymienionych! Odeszła epoka. Julian Wiktor Gomulicki, syn Wiktora Gomulickiego – odkrywcy Norwida, szykuje do druku w latach 70. pełne wydanie dzieł zebranych czwartego wieszczka (Polska zabijała się za 11 tomami Norwida). Gdy redakcja decyduje się uczcić 100-letnią rocznicę

śmierci poety ukazuje się obszerne wydanie Norwidowskie z wiodącym udziałem właśnie Juliana Wiktora Gomulickiego. Wyciąga on przed oczy czytelników XIX-wieczne wspomnienia swego ojca, odwołuje się do przykrytych kurzem pamięci losów artysty w paryskim przytułku św. Kazimierza, opowiada o Miriamie, jego poszukiwaniach *norvidianów*, wylicza spadkobierców Norwida niemających pojęcia jakie skarby odziedziczyli i nierzadko „przeputali”. Jeszcze w latach 60. możliwe było odnalezienie nieznanych, zapomnianych, przeczytanych wierszy, pamiętników wybitnych pisarzy. Nie dziw zatem, że na otwarcie numeru (1968/2, s. 3 i 6) znajdujemy cztery wiersze Andrzeja Trzebińskiego, a po nich jego programowe wystąpienie (jako Stanisława Łomienia) pt. „Pokolenie liryczne i dramatyczne”, drukowane w okupacyjnym piśmie „Sztuka i Naród” z 1942 roku. W innym z numerów Jarosław Iwaskiewicz udostępnił wstrząsający list matki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego napisany do niego na Stawisko w kwietniu 1945 roku; prawie rok po śmierci syna (sierpień 1944). Tymczasem ona dopytuje Iwaskiewicza czy wie coś o losach Krzysztofa, wszak w czasie wojny odwiedzał Stawisko. Matka nadal poszukuje ludzi, którzy coś może widzieli, słyszeli, coś wiedzą. Tego rodzaju „żywych” materiałów – jak listy, fragmenty pamiętników, literackich polemik – jest w „Poezji” wiele. Jednak tamta perspektywa jest nam już niedostępna, jest zamknięta! Ale zapisana – tym bardziej wydaje się cenna.

Żeby określić w zarysie kondycję znakomitego miesięcznika powiedzmy, iż przez 25 lat ukazało się prawie 300 wydań czasopisma (25 lat razy 12 numerów rocznie, z tym, że wiele było podwójnych), każde liczące ponad 100 stron druku. Początkowo ukazywały się jako – nazwijmy to – ogólne, poświęcone oczywiście poezji; wiersze zawsze otwierały numer, dalej zaś publikowano eseje, rozważania na temat zjawisk artystycznych w kraju i za granicą, zdarzały się tłumaczenia, recenzje tomików, omawiano wydarzenia literackie w kraju. Biała okładka i rzucona w różnych kolorach tytułowa „Poezja”. Potem – i tak było aż do końca – pojawiły się numery kolorowe i monotematyczne poświęcone bądź to autorom, bądź tematowi i zjawiskom. Literackim i nie tylko. Zachowało się bowiem wydanie „Poezja i filozofia”, „Poezja i socjologia”, oczywiście podwójne numery norwidowskie, poświęcone Miriamowi, ale i Różewiczowi, Białoszewskiemu, pokazywano polskich emigrantów, poezję erotyczną, „Kresy”, „Barok”, oczywiście nie mogło zabraknąć debiutów („Nowe dorzecza” w 1976 roku). Mocny i odkrywczy był podwójny numer „Białe plamy 1950-1954” pokazujący stalinizm na tle poezji polskiej.

Postanowiłem przekazać wszystkie swoje roczniki „Poezji” w przysłowiowe ręce nauki polskiej z nadzieją, że zostaną wykorzystane. Wcześniej usiadłem i raz jeszcze wieczorami zagłębiłem się w kolejnych wydaniach. Pouczająca lektura. Zachęcam!

**Eugeniusz Kurzawa**

**Dariusz Pawlicki**

# Pochwała sporządzania konfitur samemu

Nie da się powiedzieć sobie: Dziś, i to już teraz, zacznę pisać taki to, a taki tekst, który będzie o tym, i o tamtym. I z takim właśnie postanowieniem, zasiąść przed biurkiem. Tak, to nie działa... Przynajmniej w moim przypadku. To znaczy: zasiąść można. Można nawet ująć pióro wieczne... Ale na tym koniec. Choć pióro można trzymać i trzymać: póki palce nie zdrętwieją...

Odnośnie źródeł/przyczyn działania pisarskiego wspomnę o Stanisławie Przybyszewskim. On to bowiem twierdził, i to stanowczo, że nie pisze się wtedy, kiedy się chce, ale wówczas, gdy jest się do tego zmuszonym: gdy nadmiar emocji, pragnących się uzwewnętrznić, zmusza do chwycenia za pióro.

Przez dwa tygodnie, nie pierwszy zresztą raz, natchnienie – tak, tak, właśnie ono, omijało mnie. Może nie szerokim łukiem. Może było w zasięgu mej ręki, ale faktem jest, że na mym ramieniu, przez wspomniany okres, nie przysiadło. Wiedziałyby o tym.

Nie odebrałem tego (jeszcze), jako dezaprobaty wobec mnie, jako pisarza, ale tę możliwość parokrotnie zarejestrowałem w mych myślach. A pisarska niemoc, mogąca być tego rezultatem, w żadnym razie mi się nie uśmiechała. W tym miejscu powtórzę za Gustawem Herlingiem-Grudzińskim: „Bardzo bym chciał, żeby coś po mnie pozostało, ale piszę wyłącznie dla siebie. Piszę bo mi to sprawia przyjemność” (z *Najkrótszego przewodnika po sobie samym*).

Z tym, że z doświadczenia wiedziałem, iż natchnienie zacznie dawać o sobie znać/zacznie do mnie przemawiać, gdy tylko w mych myślach pojawi się temat, który mnie zainteresuje. Mało tego, wręcz pociągnie/porwie za sobą. I właśnie w braku owego tematu tkwił problem, który już parokrotnie dawał o sobie znać. Ale, z którym, jak dotąd, zawsze udawało mi się uporać. Czy tym razem też?

Tytuł, z którym spłynęło na mnie natchnienie – to fakt – pojawił się kilka godzin po tym, jak zakupiłem 3/4 kg porzeczek czarnych; od początku przeznaczonych na sporządzenie konfitury. Ale to nie wszystko... Przypuszczam, że coś jeszcze musiało spowodować to pisarskie odblokowanie. W ciągu mijającego tygodnia dwukrotnie dokonałem bowiem zakupu tych samych owoców, z tym samym przeznaczeniem. Bez takiego jednak skutku.

Ograniczony czas, jakim tego dnia dysponowałem, sprawił, że porzeczkami zająłem się dopiero nazajutrz. Pierwszym krokiem było umycie ich pod bieżącą wodą...

Odnośnie smażenia konfitur – tak interpretuję mój przypadek – już sama zapowiedź